



Wymazywanie

43

665

Teatr

WARSZAWA

M. Nr

5

05-2001

w y m a z y w a n i e

Fot. Stefan Okołowicz



Wymazywanie – Auslöschung wg Bernharda w T. Dramatycznym w Warszawie (2001). Piotr Skiba (Franz Josef). Reż. i scen. Krystian Lupa

Powymazywanie

Janusz Majcherek

Gdyby poprzestać na opiniach warszawskich recenzentów, *Wymazywanie* Thomasa Bernharda w reżyserii Krystiana Lupy udało się nadzwyczajnie. Nie pamiętam, żeby w minionej dekadzie gazety z lewa, prawa i środka były równie zgodne: wydarzenie sezonu, nie ma co do tego dwóch zdań.

Byłbym ostrożniejszy. Po pierwsze, sezon się jeszcze nie skończył. Po drugie, odwykliśmy w Warszawie od dobrego teatru, więc w każdym przedstawieniu, które wyraasta ponad przeciętność, skłonni jesteśmy upatrywać arcydzieła. Jeśli o mnie chodzi, w dorobku Krystiana Lupy widzę, jak dotychczas, dwa bezsporne arcydzieła, to znaczy *Braci Karamazow* i *Kalkwerk*, i nie uważam, żeby to było mało, zwłaszcza że oba spektakle powstały w tej samej dekadzie lat dziewięćdziesiątych (która, nawiasem mówiąc, była okresem wyjątkowo Lupie sprzyjającym: w tych właśnie latach ustabilizowała się jego pozycja mistrza, otoczonego gromadką wiernych egzegetów, uczniów i naśladowców). Dziś dość powszechne staje się przekonanie, że wszystko, co wychodzi spod ręki Lupy, naznaczone jest charyzmatycznym piętnem geniuszu i jako takie nie podlega dyskusji. Podziwiam Krystiana Lupę, ale nie przypisuję mu artystycznej nieomyślności (nawet jeśli jest, jak chcą jego wielbiciel, papieżem polskiego teatru). Mam w pamięci przedstawienia pomniejsze, jak choćby *Rodzeństwo*, *Sztuka*, *Kant* czy *Prezydentki*, z tejże pamięci najchętniej wyrzuciłbym przedsięwzięcia w rodzaju *Maltego*, zachowując z kolei spektakle, które, choć może nie pretendowały do arcydzielnosci, wydały mi się wybitne, jak *Marzyciele*, *Szkice z Człowieka bez właściwości* czy pierwsza część *Lunatyków*. *Wymazywanie* może się mniej lub bardziej podobać, są w nim sceny olśniewające i sceny przeraźliwie nudne, cokolwiek jednak sądzić, jest to przedstawienie, które właśnie wymaga dyskusji –

w pewnym sensie ono samo jest steatralizowaną dyskusją czy nawet sporem, który – jak mi się wydaje – Lupa prowadzi sam ze sobą na oczach publiczności. W tym sensie skłonny byłbym odbierać *Wymazywanie* jako spektakl swoiście graniczny, w którym Lupa dokonuje pewnego podsumowania. Myślę, że odbywa się ono na bardzo różnych poziomach – także, albo nawet przede wszystkim, na poziomie bardzo osobistym. Czego tu rzecz jasna komentować nie zamierzam, jedno tylko podkreślając: godna uwagi jest zażyłość Lupy z tekstem Bernharda; tekstem, który go wyraźnie pociąga i odpycha, którego lektura jest zarazem przymusem i bólem. W jakiejś mierze Lupa tłumacząc Bernharda „przepisuje” go, wkłada w jego ostatnią prozę bodaj więcej niż tam naprawdę jest. Punkt wyjścia jest prosty: mieszkający w Rzymie Franz Joseph (w tej roli Piotr Skiba) otrzymuje depechę, że jego rodzice i brat zginęli w wypadku samochodowym. Franz Joseph udaje się do rodzinnej miejscowości w Austrii na pogrzeb. W sensie fabularnym to w zasadzie wszystko, ale rzecz przecież nie w fabule. Materia wypełniająca sześciogodzinne przedstawienie to głównie retrospekcje czy, by się tak wyrazić, wspomnienia, sny, myśli, które Franzowi Josephowi, będącemu w jakiś sposób porte-parole Bernharda, pozwalają dokonać morderczego i bezlitosnego rozrachunku z własnym życiem. Bernhard pragnie rzeczy niemożliwej: stojąc na progu śmierci dostrzega fałsz całego życia, które w gruncie rzeczy chciałby unieważnić czy też wymazać. Pytanie: czy wymazać po to, żeby zniszczyć, czy po to, żeby odsłonić coś, co może kryje się pod spodem? Ten radykalny gest ma wieloraki sens symboliczny, dotyczy zarówno egzystencji, jak i sztuki. Pokusa wymazania wynika z zaprzeczenia, to jest jakby niezgoda na samego siebie, całego siebie. I oczywiście na tej czystej negatywności można by poprzestać, godząc się na egzystencjalną klęskę. Ale możliwe jest też inne znaczenie wymazywania: wymazać siebie starego po to, żeby mógł się narodzić ktoś nowy. Byłoby to coś w rodzaju zrzucenia skóry.

Temat duchowej przemiany czy odnowy nie jest w teatrze Lupy niczym nowym, wydaje się jednak, że tym razem podjęty został z wyjątkową pasją. Może dlatego właśnie odbieram to przedstawienie jako graniczne: stanowi ono jak gdyby artystyczny bilans zamknięcia, poprzedzający – jak się wolno spodziewać – kolejne, nowe otwarcie. Nawiasem mówiąc, poprzednią cezurą w twórczości Lu-

Fot. Stefan Okolowicz



py był, wydaje mi się, *Kalkwerk*, w którym do ostatecznego stężenia został doprowadzony teatr jako laboratorium absolutu. Po *Kalkwerku* Lupę wyraźnie zaciekał społeczny, duchowy i kulturowy wymiar dwudziestowiecznego kryzysu, stąd swoiście panoramiczni *Lunatycy*, w których obok dobrze już znanego, „mistycznego” skupienia, obok tonu serio pojawiają się komizm i rodzajowość. Co się pojawi po *Wymazywaniu*, ku czemu obróci się teatr Lupy, jak będzie wyglądać *Mistrz i Małgorzata*? – trudno wyrokować. Na razie można tylko powiedzieć, że *Wymazywanie* jest swego rodzaju antologią teatru, jaki Lupa dotychczas uprawiał. Muszę przy tym powiedzieć, że podziwiam autoironię i odwagę Lupy – rzeczywiście trzeba klasy, żeby przedstawiać kolejne sceny, którym zdaje się towarzyszyć niewypowiedziany głośno komentarz: patrzcie, oto moje środki, oto moje chwyt, oto moje manieryzmy. W istocie, w warszawskim przedstawieniu nie ma niczego, czego by się u Lupy już kiedyś nie widziało, to jakby sekwen-

cja autocytatów, często zresztą o tyle subtelnych, że właśnie wprowadzających element ironii. Na przykład, jeśli ma się w pamięci *Braci Karamazow* jako swoisty traktat o poszukiwaniu Boga, to godna uwagi wydaje się w *Wymazywaniu* postać kardynała Spadoliniego, w którego osobie – notabene kochanka matki Franza Josepha – cała problematyka religijna znika, a w jej miejsce pojawia się, traktowana z lekką humorystycznie, kwestia obyczajowo-psychologiczna. Między świętym starcem Zosimą a pragmatycznym i umiejącym korzystać z życia watykańskim urzędnikiem jest zasadnicza różnica, która pewnie coś w teatrze Lupy zmienia. Inny przykład: straszliwe tyrady, które wypowiada Franz Joseph, przywodzą na pamięć obłąkane monologi Konrada z *Kalkwerku*, nawet sytuacja zadreżczenia słuchacza jest podobna (odpowiednikiem Konradowej jest w *Wymazywaniu* uczeń Franza Josepha, Gambetti). O ile jednak słuchając tokującego w nieludzkim napięciu Konrada miało się wrażenie, że za chwilę

rozpęknie się przestrzeń i ukaże się istota rzeczy, o tyle gadanina Franza Josepha wzbudza śmiech, a z czasem irytację, ponieważ cechuje ją to, co jest generalnie charakterystyczne dla Bernharda, a co Lupa w swoich zapiskach nadzwyczaj celnie nazwał upierdliwością.

Te dwa drobne przykłady wskazywałyby, że Lupa chciałby świętych i geniuszy sprowadzić na ziemię czy w każdym razie pokazać odwrotną stronę tego, co kiedyś miało wymiar absolutny. Myślę, zresztą, że ironia i dystans są głównymi cechami *Wymazywania*, które na dodatek w najlepszych swoich partiach jest przedstawieniem nieodparcie komicznym. Co może by świadczyło o tym, że nowy kształt teatru Lupy rodzi się przez śmiech (tu akurat specyficzny, bo drwiący, sarkastyczny, szyderczy). W każdym razie na widowni od czasu do czasu daje się słyszeć głębokie basowe „He, he”: to Lupa, który siedzi na balkonie, skąd czasami odzywa się jako narrator, daje wyraz swemu rozbawieniu. Osobiście ten śmiech reżysera odbieram jako integralną część przedstawienia.

Niezależnie od rozmaitych rozrachunków i porachunków, jakie Lupa uprawia ze swoją przeszłością osobistą i artystyczną, godne uwagi jest to, że aspekt, by tak rzec, metateatralny czy autoironiczny nie przesłania aktorów (może najbardziej instrumentalnie potraktowany został Andrzej Szeremeta w roli ucznia Gambettiego, ale też i rezultat wydaje się umiarkowanie ciekawy). Najciekawszy efekt powstaje wtedy, gdy ironia Lupy trafia na kontrironię aktora czy ściślej biorąc aktorki. Było do przewidzenia, że ze spotkania Mai Komorowskiej z Krystianem Lupą powinno wynikać coś ciekawego, ale to, cośmy zobaczyli, przeszło najśmielsze oczekiwania. Jeśli cokolwiek w *Wymazywaniu* jest wydarzeniem, to właśnie rola Komorowskiej, która gra lekko sfiksowaną poetkę, zaprzyjaźnioną z Franzem Josephem i młodym filozofem Aleksandrem (Waldemar Barwiński). Co Komorowska ze sobą zrobiła, nie umiem powiedzieć, dość że po scenie chodzi młoda kobieta z rozpuszczonymi włosami, która zdaje się prześwietlona jakąś niepojętą jasnością, jakby blaskiem innego świata. Może dlatego tak jest, że Maria pojawia się we wspomnieniach i w snach Franza Josepha, więc jest poniekąd niematerialna? A zarazem jest kimś, kto w pewnym sensie stawia Franzowi Josephowi opór, kto relatywizuje czy ironizuje jego bombastyczną przesadę myśli i słów, kto być może wskazuje na inną możliwość artystycznego istnienia. Jeśli tak, to może wolno by się pokusić o taką oto supozycję, że Komorowska jest głównym przeciwnikiem i zarazem partnerem w owym teatralnym sporze, jaki wiedzie Lupa w *Wymazywaniu*? Tak czy inaczej wszystkie słabości i nudziarstwa *Wymazywania* gotów jestem puścić w niepamięć dla tych paru scen z udziałem Mai Komorowskiej.

Oczywiście nie od dziś wiadomo, że Lupa wydobywa z aktorów całkiem nowe tony i w warszawskim przedstawieniu są na to, może nie tak spektakularne, lecz godne odnotowania, przykłady. Oto Marek Walczewski w roli kardynała Spadoliniego: dawno nie oglądany w tak znakomitej formie, jakże zarazem odmienny od swego najczęściej ogrywanego wizerunku – wyciszony, spokojny, bez złudzeń, trochę chyba cynik i sybaryta, kompletne zaprzeczenie człowieka religijnego, natomiast wzór watykańskiego dygnitarza.

Marcin Troński: fabrykant kapsli, trochę niezguła z nierozgarniętą twarzą, przykrótkie spodnie od garnituru czynią zeń ostatniego melepetę; prawie nic nie mówi, ale paroma znakami buduje wyrazistą postać. Duże zaskoczenie.

Ale największe dla mnie zaskoczenie to Zygmunt Małanowicz w roli wuja Georga, domorosłego filozofa, jakby prefiguracji wszystkich zgorzkniałych gaduł Bernharda. Niemożliwie śmieszny, zrobiony w każdym calu, od loczków na głowie po manieryczny głos, Schopenhauer z operetki.

Oglądałem *Wymazywanie* wersji sześciogodzinnej, za jednym zamachem, choć zwykle pokazywane jest w dwa wieczory, czyli dwa razy po trzy godziny. Nic mi do tego, ale gdyby to ode mnie zależało (gdybym był na przykład dyrektorem Ciesłakiem), zażądałbym od reżysera skrótown. Jeden wieczór, cztery godziny, byłoby to z pożytkiem dla dzieła i widzów. Co prawda na koniec większa część sali urządziła stojącą owację. Tłumaczę to tylko jednym: widzowie chcieli rozprostować kości.



Teatr Dramatyczny w Warszawie:
WYMAZYWANIE – AUSLÖSCHUNG
wg Thomasa Bernharda. Przekład
i apokryfy, scenariusz, reżyseria,
scenografia: Krystian Lupa,
muzyka: Jacek Ostaszewski.
Premiera 10 III 2001.